OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 12 (24) Kwietnia 1867 roku.

Nr 17. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

KAROL Hr. BRZOSTOWSKI.

Niespełna pół wieku temu w majętności ziemskiej dawniej Chreptowiczów, a następnie Michała i Ewy z hr. Chreptowiczów, hrabiostwa Brzostowskich, położonej w powiecie Augustowskim nad rzeką zwaną na mapach Biebrzą lub B o b r z ą, a przez miejscowych mieszkańców Bobrą, składającej się ze wsi Sztabina, będącej niegdyś miasteczkiem, oraz z kilkunastu wsiów i tyluż osad leśnych, żyli sobie w pośród gnijących lasów i borów, oraz bagien lub jałowych piaszczysk, w największej nędzy i ciemnocie razem z bydlętami, w brudnych, o d a r t y c h i walących się chatach, nieszczęśliwi ludziska, dziesiątkowani na wiosnę f e b r y c z n e m i a na przednówku głodowemi gorączkami.

Majętność Sztabińska snadź z dawien dawna musiała być tak nędzną siedzibą, kiedy od wielu lat nikt z jej właścicieli tam nie mieszkał; ze swej zaś natury i położenia musiała być trudną do przeistoczenia i ulepszenia, kiedy żaden z jej dziedziców, miljonowych panów, nie pomyślał o tem i dozwalał tutejszej ludności wieść nie ludzkie lecz zwierzęce życie.

Dziwne są jednak sprawy Boże! Czego nie chcieli czy nie umieli zrobić miejscowi słudzy Boscy, proboszczowie oraz Dominikanie krasnoborscy, posiadający prawo zastawu dóbr Sztabińskich, tego dokonywa dwudziesto-czteroletni kapitan Artylerji. Było to 1820 r.



Karol Hrabia Brzostowski.

Karol hr. Brzostowski, wychowany wprawdzie owoczesnym zwyczajem na pana, ale zarazem (co wtedy rzadko się zdarzało) i jak najstaranniej wykształcony naukowo, po śmierci m a t k i z m a r ł e j w stanie wdowieńskim, został dziedzicem dóbr Sztabińskich. Jedyną radą jaką mu dawali nawet najżyczliwsi ludzie, było: „porzucić całe zniszczone i obdłużone mienie i szukać utrzymania w zawodzie wojskowym.”

Ponętny zawód dla każdego młod z i e ń c a znęcił, i dwudziesto-letniego Brzostowskiego. Pokrewieństwo i powinowactwo z pierwszemi rodzinami magnackiemi, ułatwiły mu pomieszczenie w Sztabie Naczelnego Wodza b. Wojska Polskiego. Widoki na przyszłość były nader świetne. Brzostowski oddał się z całem zamiłowaniem Inżynierji. Atoli szlachetna jego dusza nie mogła się oswoić z tem, aby puścizna przodków miała przejść na pastwę ludzi złej woli i część wierzycieli lub ich sieroty miały być pokrzywdzone, w razie sprzedania tej puścizny za summę mniejszą od długów. Postanowił tedy nie dopuścić, aby z krzywdą jednych bogacili się dru-

dzy: bierze uwolnienie od służby wojskowej, porzuca wielki świat i jego roskosze, wyrzeka się świetnej przyszłości—i osiada w Cisowie.

Stan interessów tego majątku był taki, że najzawołańszy gospodarz i najwytrawniejszy niejeden prawnik, byłby opuścił ręce.

Brzostowski jął się pracy bez najmniejszego pieniężnego zasobu, a tylko z żelazną wolą dopełnienia zobowiązań, ciążących na nim jako spadkobiercy. Ufny w swą młodość, chęć do nauki i do pracy, rozpoczął zawód gospodarski jak drugi Robinson Kruzoe sam jeden; bo ekonom nadesłany mu przez przyjaciół, ujrzawszy, że tu tylko niebo, bory i piaski, drapnął wnet z żoną i dziećmi od nowego pana.

Początek swej gospodarki tak opisuje sam Brzostowski: „Jedząc suche ziemniaki, które warzył mi poczciwy mój Jan (jedyny jego służący i pomocnik) żyć mogłem. Dzień trawiłem na roli a wieczorami pisząc przy błonce, załatwiałem interessa najtrudniejsze; gdyż ani na wyjazdy za temi ani nawet na opłatę od listów, nie miałem funduszu. Odwidzin sąsiedzkich unikałem, bo nie miałem czem przyjąć gości ani na czem posadzić: ani stołka, ani owsa, ani obiadu, ani świecy. Gdy kto przyjechał, ze wstydem kryć się musiałem lub znosić pośmiewisko.” Lecz nie wszyscy sąsiedzi byli tak głupimi i złośliwymi. Ludwik hr. Pac bliski jego sąsiad i przyjaciel, właściciel dóbr Dowspudskich, umiał ocenić trudy i zamiary zacnego męża. Brzostowski otrzymawszy od niego pożyczkę 1020 zł. stanął od razu na stopniu możności czynniejszego działania, do którego bez tej pomocy dopiero po wielu latach oszczędności mógłby był przystąpić. Zakłada tedy hutę szklanną i sprowadza sobie książki techniczne: uczy się dzień i noc, pracuje, doświadcza, próbuje, aż nareszcie własnoręcznie przy ogniu hutniczego pieca wykształca się na hutnika. Zysk z huty był wprawdzie mały, ale ludność miejscowa znalazła niejaki zarobek w rąbaniu drzewa w bezpożytecznych dotąd lasach oraz w jego zwózce, a przybywający po szkło lub dowożący materjał do huty, zwiększali dochód propinacyjny i ze sprzedaży żywności. Niejaki ruch obudził się w tej głuchej dotąd pustyni.

Wkrótce potem Rząd postanowił był zbudować kanał Augustowski celem połączenia Narwi z Bugiem. Budowa śluz potrzebowała różnych odlewów żelaznych, a fabryki żelazne były zbyt odległe, a ztąd ceny za dostawę za wysokie. Przemysłowość Brzostowskiego podsunęła mu myśl założenia odlewni. Skupił stare żelaztwo, przyjął formiarza, sprowadził książki metalurgiczne i urządził pracownię we wsi Janówku, w starym drewnianym browarku. Pierwszym wyrobem były dwa niewielkie koła, ulane przy miechu kowalskim. Następnie z zarobionych pieniędzy stanął piec, deptak i miechy. Pracując dniem i nocą w największej niewygodzie, dostarczył do śluz wszystkie odlewy w ciągu kilkunastu miesięcy, za summę 70,000 zł. Połową tej summy stanowiącą czysty zysk, zaspokoił część długów a co większa znalazł już i kredyt, bez którego trudno obejść się każdemu fabrykantowi. Brzostowski mógł już teraz wyrzec: „Obecnie mam rzeczywisty majątek *w pracowitości i własnym przemyśle!*”

Rolnictwo jednak z powodu lichej gleby i trudnego zbytu, zaledwie wyżywić mogło i to nędznie miejscowych włościan. Na podatki rządowe zarabiali głównie kołodziejstwem, kradnąc drzewo z okolicznych lasów. Dla tego prawie wszyscy byli ubodzy, opieszali i szukający pociechy w gorzałce. Brzostowski zapragnął polepszyć ich byt, i zrobić z nich ludzi poczciwych i pracowitych. Najprzód tedy oczynszował swych włościani postanowił stać się prawodawcą, nauczycielem i przewodnikiem tych, których losy Opatrzność powierzyła w jego ręce.

Ugoda zawartą została dobrowolnie z obu stron. Opłatę czynszu rozłożono na drobne spłaty, pieniędzmi lub odrobkiem a nawet płodami, jak komu dogodniej. Sumienność Brzostowskiego zniewala go zaprowadzić ścisłą i troskliwą kontrollę i rachunkowość. Wszystko się oblicza, odmierza, odważa, ocenia i codziennie się zapisuje. Wszelka praca, wszelka robota nie tylko człowieka ale i konia lub wołu, codziennie jest oceniona i zapisana, a należność natychmiast gotowizną zapłacona lub zapisana na rachunek czynszu. Lecz tej pracy rachunkowo-kassowej sam Brzostowski nie jest w stanie podołać. Cóż więc robi? Sprowadzać obcego rachmistrza nie chce, bo zadaniem jego dawać zarobek miejscowym mieszkańcom. Ależ nikt się nie zna na rachunkach. Uczy więc rachunkowości kupieckiej żonę jednego ze swych pomocników i tym sposobem zwiększając utrzymanie jednej rodziny, uprzedza swój czas i daje dowód, że i kobiety mogą sprawować różne urzęda, czego dzisiaj jeszcze wielu mężczyzn nie może zrozumieć i zaprzecza niewieście prawa do pracy tego rodzaju i samoistnego bytu.

Brzostowski obznajomiwszy się z metalurgją, postanowił nareszcie założyć hutę żelazną oraz odlewnię na stopę równą innym. Staranne poszukiwania wynalazły w borach rudę: była też i w sąsiednich dobrach. Początkowo odlewano tu kociołki i garnki oraz inne drobiazgi; następnie sztachety i nadgrobki, a nawet dzwony.

Pobudował także na około hut domki dla hutników i innych rzemieślników.

Gdy już wprawił swoich robotników do pewnej doskonałości w swym fachu, zaczął zwolna przystępować do budowy różnych narzędzi i machin rolniczych, wozów, sikawek ręcznych, pomp tłoczących i t. p. Rozgłos o dobroci i taniości tych wyrobów, zjednał Brzostowskiemu odbyt nietylko w kraju ale i w Cesarstwie.

Nie dosyć było na tem twórcy Sztabińskiego przemysłu! Jemu potrzeba było zużytkować nietylko drzewo swych lasów, ale i inne płody rolnicze, aby podnieść ich cenę i wydźwignąć z ubóstwa rolników.

Oprócz gorzelni zaprowadził fabrykę rumu i wódek słodkich, a mając już chmielnik wystawił browar piwny i porterowy. Huta szklanna dostarczała butelek.

Ze wzrostem przemysłu, wzrastała i zamożność wszystkich mieszkańców. Brzostowski spłacał ciągle jednego wierzyciela po drugim. Dominikanie krasnoborscy oddaleni zostali przez sądy ze swą pretensją jako bezzasadną, oraz kilku innych pieniaczy.

Majętność Sztabińska zaczęła się nie tylko polepszać, zabudowywać, ale i upiększać. Zbutwiałe

chaty zamieniły się w porządne i zdrowe domki; zaraźliwe bagna i trzęsawiska, zmieniły się w bujne łąki i pastwiska; murowane budynki fabryczne i mieszkalne, przedstawiają już miły widok dla oka. Drogi ubite zuzlem, ułatwiają kommunikacyję a wydmy piaszczyste; własnoręcznie przez Brzostowskiego zasadzone drzewem, chronią rolę od zasypów.

Dla uchronienia nabywców przybyłych za kupnem od straty czasu, Brzostowski urządził własnoręcznie z kantoru do huty telegraf elektryczny, niewątpliwie pierwszy w królestwie Polskiem, za pomocą którego zaraz po zapłaceniu należności dawano znać, aby żądane przedmiota zapakowane zostały i wydane za przyjazdem kupcowi po okazaniu kwitu kassowego.

Brzostowski duszą i ciałem był oddany swojemu dziełu, tak świetnie uwieńczającemu jego pracę. Radość swoją z tego każdemu objawiał ze szczerą radością, a cieszył się on nie tyle z dochodu jaki przynosiła mu jego praca, jak raczej tem, że nauka i nabyte wiadomości zapewniają mu niezawisłość i że przyczyniają się do dźwignienia krajowego rolnictwa i przemysłu fabrycznego, oraz do uzdolnienia robotników krajowców a tym sposobem i dla dobra społeczeństwa.

Czcigodny ten mąż z tego powodu tak pisze w jednem miejscu: „Pyszny jestem z tego, że sam sobie wystarczam. Gdybym stracił to przekonanie, życie by mi obrzydło. Przestałbym żyć, gdybym nie mógł zarobić na moje życie!"

(Dokończenie nastąpi).

TYPY WARSZAWSKIE.

II.

KOMINIARCZYK.



Lat temu kilka... byłem tak mały,
Zaledwiem łokieć odrósł od ziemi,
Niańki chodzące z dziećmi drobnemi,
Strachem mnie jeszcze nie nazywały:
Gdy mnie zbudzono raz bardzo rano,
W czarny szpencerek z sukna ubrano,
Dano w dłoń kulę, wiechę i liny,
I powiedziano: „idź, czyść kominy!"

Poszedłem.... Wielem przecierpiał strachu,
Gdym musiał włazić do czarnej rury,
Nie wyskoczyłem mało ze skóry,
Gdym się zobaczył na stromym dachu....
Ale to przeszło.... Dziś nikt nademnie
Porządniej sadzy nie wytrze w ciemnie,
Nikt się dachówek zwinniej nie czepi,
I nikt *hijor-hi!!* nie woła lepiej.

Ludzie się śmieją z kominiarczyka,
Czemu?... Bo czarna sadza go pruszy,
Lecz iluż białych czarno ma w duszy,
A nikt palcami ich nie wytyka?....
Śmieją się.... Dobrze! śmiejcie się zdrowi,
Żal mi was, że wam rozum nie powie:
Jaka to przyszłość światu zagraża,
Gdyby zabrakło mu..... Kominiarza!:..

Wystawmy sobie, że w jednej chwili
Wszystkie warszawskie kominiarczyki
Poszli grać w dołki, albo w guziki,
Lub że rzemiosło swe zarzucili.
Wyszorowali lica szczerniałe,
Włożyli suknie czyste i białe,
Pomadą blasku dodali włosom,
I... zostawili świat jego losom.....

Niech-no tak potrwa do dwóch tygodni:
Dymią się piece, dymią kominy,
A ludzie kwaśne zrobili miny,
I stoją w koło zziębli i głodni.
Objadu dostać za żadną cenę,
Gdzie dom—to pani cierpi migrenę,
Pan kaszle, chrząka, krzywi się, krztusi,
Dym nawet dzieci w kolebkach dusi!....

Nie dosyć na tem!.... W parę dni jeszcze,
Strażak na wieży gdzie spojrzy z góry,
Wszędzie się dymu wzbijają chmury,
I zewsząd lecą iskry złowieszcze.
Ile jest domów, tyle się pali,
Gdzież ludzie, coby zgasić zdołali?....
Wnet z tej Warszawy tak dziś wspaniałej,
Czarnychby zwalisk kupy zostały.

I nie mogłoby stać się inaczej!....
Kominiarz zatem jest w tej budowie,
W machinie która światem się zowie—
Kółkiem, co więcej nad inne znaczy;
Bo gdyby zbrakło tych z czystą twarzą,
Co pieką ciastka lub cukier smarzą,
Robią pierniki, albo karmelki,
Czyżby świat doznał klęski tak wielkiéj?...

Więc mogę dumnym być z mojej doli!..
Że tam kto nie zna mojej zasługi,
Że mnie za postrach ma jeden drugi,
To nie obchodzi mnie; nie boli.
Gdybym ja nie był czarnym jak smoła,
Dym z pieców wasze kopciłby czoła—
To też nie szydźcie z mojej czarności,
Ja dźwigam kopeć całej ludzkości.

Wołody Skiba.

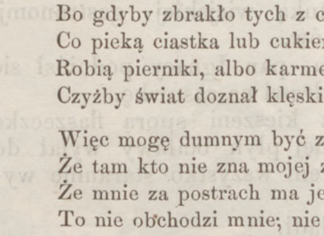
DZIWNI LUDZIE.

POWIEŚĆ.

(*Dokończenie*—Patrz Nr. 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15 i 16.)

XVI.

Gościnność i prawo.



Kilka dni upłynęło od tej rozmowy, nadchodził koniec Września. Wjeden z prześlicznych dni babiego lata, dwaj przyjaciele zajechali

do Świerzycy i jak zwykle po przepędzeniu wesoło dnia całego, zatrzymani zostali na noc; nazajutrz zaś dopiero po południu opuścić mieli gościnne progi domu pana Rafała.

Dzień następny był równie piękny. Obejmując pod swe panowanie przyrodę, jesień z uśmiechem przyglądała się swemu państwu.

Po rannej kawie, Szerepa z Ignacym wyszli na przechadzkę na pola.

Wychodząc Ignacy zajrzał do gospodyni, prosząc jej ażeby na jedenastą gdy powrócą, usmażyła im grzybów na drugie śniadanie.

Dyspozycja taka nie była już nowością, wiedziano o tym dziwnym zwyczaju pana Ignacego i z prawdziwą ochotą się doń stosowano.

W czasie przechadzki, Ignacy najświetniejsze robił nadzieje Michałowi.

— Lada dzień się oświadczysz, tylko mnie słuchaj.

— Uszczęśliwiasz mnie, — odpowiedział Michał, — bo mi się już serdecznie nudzi tak długo czekać na rozwiązanie.

— Rozwiązanie będzie bardzo prędko, parę dni jeszcze cierpliwości, tylko mnie słuchaj, — powtórzył Ignacy.

— Mój Ignasiu, — odrzekł Szerepa, — czyż możesz powiedzieć, żebym w czemkolwiek nie szedł za twą radą.

— To dobrze; — tylko pamiętaj, słuchaj mnie zawsze... zwłaszcza dziś... wszak nigdyś źle nie wyszedł na moich radach?...

— Nigdy.

— Więc dziś daj dowód, że mi ufasz.

— Dam.

O jedenastej zastawiono przed dwoma przyjaciołmi w pokoju który zajmowali, dwa talerze pachniących, z całą sztuką wiejskiej gastronomji przyprawionych grzybów.

Gdy służąca odeszła, pan Ignacy podniósł się na palcach i zamknął drzwi na zasuwkę.

Następnie wyjął z kieszeni sporą flaszeczkę i znajdujący się w niej płyn białawy wylał do swojego talerza, a potem wszystko starannie wymięszał.

Michał patrzył i zbladł.

— Co to?... — zapytał z cicha.

— Esencja grzybowa, mojego wynalazku... będą lepsze... powąchaj.

To mówiąc przysunął próżną flaszkę do nosa Michała.

Szerepa mimowolnie powąchał. Czuć było rzeczywiście grzybami, jednak wzdrygnął się i cofnął.

Po przyrządzeniu potrawy, Ignacy wstał od stołu i rzekł:

— Gdyby tu przyszedł Staś, bądź łaskaw poproś go do mojego talerza...

— Ignacy.... to okropne.... to z trujących grzybów.....

— To pół — miljona, — odpowiedział przyjaciel.

— Poznają się... odkryją...

— To i cóż?... ty gotowałeś grzyby?... przypadek!...

— Ja będę zdrów...

— Powiesz, żeś zjadł tylko dwie łyżki...

— Nie... ja na to nie pozwolę...

— Głupiś... miałeś mnie słuchać... rób jak ja chcę... albo radź sobie sam... ja odjadę...

To powiedziawszy Ignacy wyszedł nieczekając odpowiedzi przyjaciela, a wkrótce potem odszukawszy Stasia posłał go do swojego pokoju.

W chwilę potem czternasto-letni chłopiec wbiegał do stancji, w której nad talerzem grzybów siedział w słup prawie przemieniony Michał...

— Pan mnie wołał? — rzekł wchodząc, — a!.... pan je grzybki!...

— Może zjesz ze mną, — odpowiedział blady jak papier Szerepa.

Staś zasiadł z ochotą do talerza.

Dziwnie i uderzająco pomięszaną musiała być twarz Szerepy, kiedy dziecko przed zabraniem się do jedzenia rzekło:

— Oh! panie... pan taki blady....

— Blady?... — powtórzył cicho Michał.

Staś poniósł już łyżkę do ust, gdy w tem Szerepa drgnął i kładąc palec na ustach zawołał:

— Psst!

Dziecko nie wiedząc co ten wykrzyknik znaczył, odjęło od ust łyżkę i wielkiemi oczyma patrzyło w Michała.

Czy to chęć powstrzymania ręki Stasiowi, czy to sumienie wyrwało ten wykrzyknik Michałowi? Nie!

Powodem wykrzyknięcia było to, że Szerepa usłyszał po za ścianą głośno wymówione swoje nazwisko.

W przyległej izbie była kancelarja pana Rafała, drzwi jednak z niej do pokoju w którym się znajdował Szerepa, nie było wcale.

Ściana dość cienka drewnianego dworu, dozwalała słyszeć rozmowę.

Szerepa słuchał i poznał głos Kwadrackiego:

— Aresztować gościa w moim domu nie pozwolę... prawa gościnności są święte.

— Panie Kwadracki, — odpowiedział głos drugi, zupełnie Michałowi nieznany, — narażasz się pan na okropną odpowiedzialność, stawiając tamę działaniu władzy... Pański gość Szerepa z Suchej Woli, oskarżony jest o morderstwo popełnione na cmentarzu Osieckim... Dowody są.

Staś nie uważał na rozmowę i znów się zabierał do jedzenia.

Widząc to Szerepa, porwał za stojący niedaleko kałamarz i wylał go w grzyby dziecka.

Następnie nie tracąc chwili czasu wybiegł z pokoju.

Wypadło mu przebiegać koło sypialni pana Rafała. Wisiała w nim nad łóżkiem dubeltówka zawsze nabita, zerwał ją ze ściany i niespostrzeżony przez nikogo, jak strzała pobiegł do ogrodu...

Zbrodnia spełniona przez Szerepę na cmentarzu Osieckim, była wykrytą.

Jak?... tak jak się wykrywają wszystkie zbrodnie: ze śladów po niej pozostałych, z poszlak, ze zbiegu okoliczności.

Korespondent piszący ze Staszowa o niepodobieństwie wykrycia sprawcy, pisał jak często piszą korespondenci — ze słyszenia. Nie mógł on wcale wiedzieć co myślał zajmujący się śledzeniem sąd Staszowski o spełnionej zbrodni.

Pamiętajmy, że Szerepa chodził na cmentarz przez manowce, to dostarczyło najgłówniejszej poszlaki. Gubiło go to właśnie, co przedsięwziął dla swego bezpieczeństwa.

Wykryto ślady stóp, prowadzące od Suchej

Woli ku cmentarzowi i napowrót; ślady te, jak łatwo można było poznać, pochodziły od cienkiego warszawskiego obuwia, jakiego nikt w Suchej Woli oprócz właściciela nie nosił.

Z tych śladów jak z tajemniczych głosek, można było wyczytać dosyć dokładnie cały przebieg okropnej nocy, w czasie której zbrodnia została spełnioną.

Nie podlegało wątpliwości, że rozkopanie kopca na mogile spalonego, miało prosty związek z morderstwem. Jedno i drugie musiało być dziełem tej samej ręki.

Naturalnie, że ta okoliczność kazała zbadać z całą starannością grób rozkopany.

Znaleziono w ziemi która stanowiła nasyp mogilny, rozmaite przedmioty, które tam pozakopywał idjota. Były to guziki, gwoździe i tym podobne drobiazgi, nic wyjaśnić nie mogące. Znaleziono przecież i rzecz, która daleko więcej powiedzieć mogła, chociaż tym razem zagmatwała tylko sprawę.

Był to list, który bądź przy zakopywaniu pugilaresu przez idjotę, bądź przy odkopywaniu go przez Szerepę, wysunął się z niego i zgniłby w ziemi najspokojniej, gdyby go dość wcześnie nie wydobyto.

List ten był w języku polskim, datowany z Santiago, podpisany imieniem Anzelm i dający pewne polecenie handlowe, jakiemuś przyjacielowi znajdującemu się w Oporto.

Nic więcej z niego dojść nie było można.

Wszystkie te przedmioty, stosownie do przepisów prawa, pozostały w posiadaniu sądu i przechowane zostały najstaranniej.

Nagły wyjazd Szerepy, niedoprowadzenie do skutku zamierzonej sprzedaży wioski i kilka innych pomniejszych okoliczności, naprowadziły na dalsze domysły.

Jednakże w obec nieprawdopodobieństwa zbrodni, której celu pojąć na żaden sposób nie można było, poszlaki te uznane zostały za niedostateczne, tymbardziej, że choć ślady stóp zdawały się rzucać podejrzenie na Michała, list za to usuwał je zupełnie; domyślano się bowiem, że zgubionym on być musiał przez człowieka, który popełnił zbrodnią i przyrzucony przez niego ziemią w czasie rozkopywania grobu, które było nie pojętą zagadką. Sprawcą zbrodni musiał zatem być człowiek, który był w Oporto lub miał z tem miastem stosunki, a w żadnym razie nie Szerepa.

Zbity z tropu swych poszukiwań sąd, postanowił śledzić tylko Szerepę bez jego wiedzy, niechcąc na zasadzie błahych może domysłów narażać dobrej sławy obywatela.

W Warszawie zwrócono uwagę na raptowny przypływ do kieszeni Michała pieniędzy, których źródła dojść nie było podobna. Okoliczność ta przecież wyraźnie nie zdawała się mieć najmniejszego związku z morderstwem.

Do rozpoczęcia procesu potrzeba było dowodu prawnego.

Dowód prawny teraz właśnie, przypadkiem wynaleziony został.

W dzień jarmarku w Staszowie na Święty Mateusz, po wyjściu z winiarni Ignacego i Szerepy, dwaj urzędnicy sądowi weszli na butelkę wina do tegoż samego pokoiku, który przed chwilą Orest z Pyladem opuścili.

Zasiadając do stołu, nim jeszcze im podano traktament, jeden z nich spostrzegł pod stołem kawałek papieru i schylił się by go podnieść.

Zaraz na pierwszy rzut oka uderzyło go pismo znajome.

— Nie wiesz kto to mógł pisać?... — rzekł do kolegi.

— Wistocie znam pismo... przejrzyjmy.

Był to list prawie tej samej treści a zupełnie tej samej ręki, co znaleziony w grobie spalonego.

Szerepa przeglądając pugilares upuścił ten list przypadkiem, a ponieważ był podchmielony również jak jego przyjaciel, więc na to nie zwrócili uwagi.

W tej chwili przyniesiono sądownikom, tacę z butelką i kieliszkami.

— Kto tu był przed nami?—spytał jeden z nich usługującego.

— Pan Szerepa z Suchej Woli z jakimś innym panem z Warszawy.

Tym razem poszlaka była nazbyt ważną, była nie ledwie dowodem. Na zasadzie tego odkrycia wydano w parę dni rozkaz aresztowania Michała.

Nie zastawszy go w Suchej Woli, urzędnicy mający polecenie wykonania tego rozkazu, udali się bezzwłocznie do Świerzycy gdzie aresztowanie byłoby nastąpiło natychmiast, gdyby panu Rafałowi się nie zdawało, że potędze prawa, postawić można jako tamę przywileje gościnności.



XVII.

Dwa Wystrzały.

dy jak sądził że posłał brata Anny na śmierć pewną, Ignacy wszedł do ogrodu, uśmiechał się szatańsko na myśl o zarobionym tak łatwo i nieryzykownie pół-miljonie. Udanie się bowiem całej sprawy uważał już za nieomylne.

Przypadek chciał, że korzystając z pięknego dnia Anna, z książką w cieniu jednego z najrozłożystszych drzew, używała samotna świeżego powietrza i chwilowego spoczynku w pośród gospodarskich zajęć.

Ignacy spostrzegł ją zdaleka, zbliżył się i rozpoczął rozmowę.

Był tego dnia w szczególnie przedsiębierczem usposobieniu. Zdawało mu się, że kiedy jedno się powiodło, wszystko się powieść musi. Po jednym kroku stanowczym, postanowił zrobić krok drugi.

Zręcznie nakierował rozmowę w sposób właściwy, postanawiając zakończyć ją oświadczeniem.

Anna przez dość długą znajomość oswoiła się

z Ignacym, którego twarz przy pierwszem ujrzeniu jakiś antypatyczny wstręt w niej obudziła.

Dyplomatyczna strategja wytrwanego warszawskiego hulaki, szybko zagasiła w jej sercu ten płomyk sympatji dla Michała, co tak łatwo mógł się w pożar zamienić, taż sama zręczność wyćwiczonego w sztuce życia oszusta, zdołała z biegiem czasu nie tylko zatrzeć pierwiastkowy wstręt instynktowny Anny do jego osoby, lecz nawet tyle osiągnęła, że wychowanica pana Rafała z przyjemnością słuchała jego rozmów i polubiła jego towarzystwo.

Serce jej było wolne.

Ignacy wiedział o tem wszystkiem i choć widział dobrze że nie potrafił żywszem rozpłomienić jej uczuciem, liczył na to co mu się dotąd zrobić udało i miał nadzieję, że oświadczenie jego odrzuconem nie zostanie.

Tym więcej mu się to zdawało możebnem, że Anna nie starała się zwrócić na inny przedmiot rozpoczętej przed chwilą uczuciowej rozmowy.

Stanął więc przed nią i poważnym, dobrze odgrywającym wzruszenie głosem prawił swą rolę.

— Pani, sądzę że miałaś czas mnie poznać... odważam się więc dzisiaj na to, co od pierwszej chwili ujrzenia ciebie, było najgorętszem mojem pragnieniem... na wyznanie ci mej miłości... kocham cię pani... kocham tak...

W tej chwili rozległ się strzał w bliskości i pan Ignacy kulą ugodzony w głowę, padł u stóp Anny bez życia.

Wkrótce potem zagrzmiał strzał drugi...

Anna omdlona z przerażenia, padła na ławeczkę darniową...

. . . .

Odgłos wystrzałów sprowadził wkrótce wszystko co żyło na miejsce strasznej katastrofy.

Przed zemdloną Anną leżał trup Ignacego.... o kilka kroków dalej w krzakach znaleziono ciało Michała, który drugim wystrzałem odebrał sobie życie.

Wybiegłszy do ogrodu z zamiarem uniknięcia więzienia i hańby przez samobójstwo, Szerepa trafem zabiegł w miejsce, z którego dostrzegł Ignacego i Annę i dosłyszał słowa mniemanego swego przyjaciela.

Na progu śmierci widząc się zdradzonym, postanowił pomścić się na zdrajcy...

. . . .

W parę godzin potem pan Rafał Kwadracki wiedział już z papierów znalezionych przy Michale o śmierci przyjaciela, którego dzieci przyjął za swoje, oraz o śmierci brata, którego miljonowy majątek spadł na niego.

Anna i Stanisław na jego piersiach tulili boleść po stracie ojca, któremu los nie pozwolił ujrzeć ich w życiu raz jeszcze.

Pan Rafał pocieszał ich przez łzy:

— Bóg nie dał wam uścisnąć ojca... ale nie płaczcie dzieci moje... ojciec wasz zginął śmiercią świętych... nie zostaliście przecież sierotami... ja dla was żyję...

KONIEC.

POGAWĘDKI NAUKOWE.

I.

TAJEMNICE SŁOŃCA.

W tej chwili, mianowicie w Anglji, uczeni zajęci są bardzo pilnie badaniem słońca. Z jakich pierwiastków składa się to zródło światła i ciepła? Jestli ta świetna gwiazda dnia rozpaloną lub zimną, twardą albo gazową? Co podtrzymuje w słońcu to ognisko ciepła dla całego planetarnego swiata? Dlaczego ono świeci?—Nauka stara się odpowiedzić na te ciekawe pytania.

Fantazja starożytnych poetów przedstawiła słońce na rydwanie zaprzężonym w cztery ogniste rumaki, ale starożytni uczeni nieposiadali najmniejszego przybliżonego pojęcia o jego rozmiarach; kiedy bowiem jeden z filozofów ośmielił się twierdzić: iż słońce jest wielkie jak Peloponez—Ateńczycy tak wysoko ukształceni naukowo, zamknęli go (filozofa, nie słońce), do więzienia.

W 1611 r. jezuita Szeiner spostrzegszy plamy na słońcu, zawiadomił o tem odkryciu generała zakonu, który mu odpowiedział: iż spotrzeżenie jego musi być pomyłką, Aristoteles bowiem nie wspomina o niczem podobnem. Teksta były prawem w tym czasie, a ludzkość ograniczała się w nauce, na roli biernego komentatora.

A jednak spostrzeżenie plam na słońcu zostało stwierdzonem. Kształt tych plam czynił możliwem przypuszczenie, iż są one otworami przez które widać twardą i ciemną kulę słoneczną. Z tego wyprowadzono wniosek, że słońce składa się z ciemnego, zimnego jądra, otoczonego dwoma warstwami atmosfery, z których pierwsza zewnętrzna posiada własność wydawania światła i ciepła i dla tego nazwano ją *fotosferą*. Teorja ta przyjętą została przez wszystkich uczonych astronomów i znajdujemy ją w każdem niemal dziele temu przedmiotowi poświęconem.

Przyjąwszy że jądro słońca jest ciałem twardem, można przypuścić konsekwentnie że jest zamieszkanem. Znakomici astronomowie, jak Herszel, Arago, rzeczywiście stawiali podobne domniemania. Siła przyciągania na powierzchni słońca, jest 28 razy większą niż na powierzchni ziemi, ciało ważące funt na naszej planecie, ważyłoby 28 na słońcu; mieszkaniec słońca posiadając organizację taką samą jak ludzie, byłby zgniecionym własnym swoim ciężarem. A zatem istoty żyjące na tej wspaniałej gwiaździe, muszą cieszyć się inną zupełnie organizacją.

Najnowsze odkrycia i wyniki badań, z gruntu zmieniły dawniejsze teorje i mniemania dotyczące się stanu w jakiem pozostaje słońce. Bliższe zapoznanie się z naturą światła słonecznego dowiodło, iż zrodłem jego nie jest płonąca atmosfera ale ciało stałe rozpalone, otoczone mniej gorącą i świetlaną atmosferą, w której się unoszą rozmaite pary metaliczne, ulatniające się z rozgrzanego jądra słonecznego. Te to właśnie pary mające taką samą własność zbierania się w ciemne obłoki, jak w naszej atmosferze para wodna w chmury, są przyczyną plam na słońcu, jakich spostrzeżenie stało się podstawą przeciwnej, a powyżej wzmiankowanej teorji. Upadają więc wszelkie przypuszczenia o ciemnem jądrze słonecznem, o mieszkańcach na tej gwiaździe i inne wymysły bujnej imaginacji. Natomiast, nowa teorja powiada: ze słońce jest wielką sfereidalną kulą rozpaloną. Pojęcie takie zgadza się z mniemaniami sławnego astronoma Laplaca, który przypuszczał: że cały układ słoneczny powstał z materji będącej pierwotnie w stanie gazowym czyli pary, a która to para następnie zgęszczona czyli zmieniona w płyn, utworzyła słońce i wszystkie planety.

Według więc tych przypuszczeń, istotnie silnemi dowodami praktycznemi popieranych, ziemia byłaby wygasłem, na półostygłem już ciałem niebieskiem—kiedy słońce jest jeszcze rozgrzanem i świecącem. Maźnaby więc z tego wy-

prowadzić wniosek, iż po jakich tysiącach lat ziemia zupełnie wystygnie, powierzchnia jej skrzepnie i zmarznie, natura organiczna zaginie, a nasza planeta podobnie jak dziś księżyc będzie w przestrzeni pusta i zimna! Badanie natury słonecznego światła, nauczyło nas z jakich pierwiastków składa się słońce.

Każdy wie bardzo dobrze, iż promień swiatła składa się z siedmiu kolorów. Jeżeli *np.* snop światła wpuścimy przez dziurkę w okiennicy do ciemnego pokoju i na jego drodze umieścimy kawałek szkła oszlifowanego w kształcie pryzmy, to światło przechodząc przez szkło rozszczepi się na swe siedm kolorów i padając na czystą podłogę, utworzy smugi tymże siedmiu kolorom odpowiadające. Otóż takie smugi pochodzące ze światła rozłożonego na barwy pierwotne, nazywamy widmem słonecznem. Jeżeli zaś takie widmo wywołamy na powierzchni bardzo czystej i gładkiej i rozpatrywać je będziemy przez szkło powiększające, to spostrzeżemy w niem mnóstwo ciemnych prążków zajmujących stałą objętość i nieruchomą pozycję.

Światło sztuczne *np.* gazu, lampy, przepuszczone przez pryzmę szklanną, ma także swoje widmo, ale w tem widmie wtedy tylko dostrzedz można prążki nieruchome, jeżeli w płomień wydający światło, włożemy jakie ciało obce *np.* drut metaliczny. Nadto spostrzeżono i to jeszcze, że kształt i miejsca tych prążków zmienia się stosownie do natury ciała w płomieniu umieszczonego. Już to są one rozmaitych barw lub też zupełnie ciemne jak w promieniu słonecznym.

Tym sposobem posiadamy środek oznaczenia natury ciała wprowadzonego w światło, za pomocą mikroskopijnego badania widma. A metoda ta jest tak scisłą, iż przy rozkładach wykrywa obecność miljonowej części miligrama wchodzącego w skład ciała. Analiza chemiczna wód mineralnych, wykrywająca miljonowe części uzdrawiających materji, niedaje ścislejszych wypadków. Bytność prążków niepodobnych do tych jakie odpowiadają znanym metodom, wskazuje niezawodnie na istnienie metali dotychczas niezbadanych. Jest to do tego stopnia prawdą, iż chemicy za pomocą analizy widma, wynaleźli cztery metaliczne pierwiastki istniejące w naturze, obok 64 odkrytych już dawniej.

Porównanie widma słonecznego z widmem światła sztucznego, pozwala skontrolować jakie pierwiastki zawarte są w świetle słonecznem, a zatem i w słońcu. Przekonano się więc, że liczba tych pierwiastków jest dość znaczna, a mianowicie że znajduje się tam żelazo, miedź, cynk i inne metale, zapewne w stanie pary wznoszące się w atmosferze słońca. Przeciwnie, niedostaje złota, srebra, rtęci, arszeniku, glinu, krzemu i innych ziemistych pierwiastków.

A zatem przeważywszy i wymierzywszy słońce, uczeni za pośrednictwem cudownej kombinacji, zdołali oznaczyć pierwiastki składowe atmosfery słonecznej i tym sposobem przewyższyć o wiele najbujniejsze rojenia poetycznej imaginacji. Obecnie wiadomo *np.* że gdyby słońce składało się z materji palnej *np.* z węgla, to zgorzeć by musiało w ciągu 5000 lat. Geologja zaś udziela niezaprzeczonych wskazówek, iż ziemia zamieszkaną jest od kilkunastu tysięcy lat, a zatem i słońce przynajmniej tyleż tysięcy świeci. Trzeba przypuścić, iż dawno już ostygłoby i zagasło, gdyby nie jakaś przyczyna podtrzymująca gorzenie będąca źródłem ciepła i światła.

Na początku systemat planetarny stanowił jedną haotyczną całość, złożoną z materji wstanie rozprężliwych par, materji kosmicznej, podobnie jaka i dziś jeszcze istnieje w tak nazwanych mgławidłach. Następnie dopiero po zgęszczeniu się materji i ułożeniu zgęszczonej w pewne oddzielne całości, powstało słońce i planety i wszelkie meteoryczne ciała błądzące, kołujące w przestrzeni naszego systematu niebieskiego. Pewna ilość tych ciał utworzyła pierścień krążący koło słońca, a który to pierścień wydaje owe białawe światło widziane nad horyzontem w czasie porównania dnia z nocą, a zwane światłem zodyakalnem. Te niewielkie ciała z niesłychanych przestrzeni krążąc koło słońca, opisują coraz mniejsze kręgi, zbliżają się i nareszcie podobnie jak deszcz, spadają z szybkością 75 mil na sekundę na powierzchnię słońca. Tym sposobem podtrzymują wysoką temperaturę potężnej gwiazdy, ale podtrzymują nie przez spojenie, lecz przez uderzenie, przez starcie się ciała o ciało. Jak jest w rzeczywistości. Wyrzuciwszy kulę armatnią na powierzchnię jakiego ciała twardego, wywiązuje się pewna ilość ciepła i kula się rozpala. W naturze nic nie przechodzi bez skutku, siły i materja zmieniają swój kierunek i kształt, lecz nie giną,

Słońce jest źródłem wszelkiego życia i ruchu, gdyby nie jego błogosławione promienie, ziemia byłaby pusta i bezpłodna. Jemu to zawdzięcza ludzkość pokłady węgla kamiennego, będące rezerwoarami ciepła. Każdy atom węgla w tkance roślinnej, pochłania pewną ilość ciepła słonecznego, utaja go w sobie aż do chwili, gdy przypaleniu ciepło się uwalnia. Paląc drzewo lub węgiel kamienny, otrzymujemy taką samą ilość ciepła jaką pochłonęły rośliny, z których one pochodzą w ciągu swojego wzrostu. Nie węgiel, nie para, poruszają lokomotywami i statkami, ale słońce. Rośliny, zwierzęta, ludzie: rodzą się, rosną, umierają rozsypując się w proch zapładniający nowe życie pod wpływem słońca—i tylko słońca!

Adam Wiślicki.

CZAPLA.

W pewnem towarzystwie wiejskiem złożonem z kilku mężczyzn, toczyła się wesoła rozmowa to o tem to o owem, przeplatana jednak najczęściej dykteryjkami myśliwskiemi starego pana Łukasza, zawołanego w całej okolicy myśliwca. Znał on knieje nietylko praktycznie, ale i teoretycznie, a przywiązanie jego do niej graniczyło z miłością, którą tylko winniśmy podobnym sobie istotom. Wszelkie tajemnice i przepisy sztuki myśliwskiej nie tylko że mu były dokładnie znane, ale też i dziwy umiał o nich opowiadać. Obyczaje zwierząt leśnych znał na wylot, i nie lubił gdy kto się zdradził widoczną ich nieznajomością. To też i teraz usłyszawszy, jak ktoś w potocznej rozmowie rzekł bez zastanowienia:

— Chudy jak czapla!...

Zerwał się pan Łukasz jak oparzony i zawołał z widocznem nieukontentowaniem:

— Co mosyndziej rozumiesz pod tym przysłowiem — chudy jak czapla! kto pierwszy tę przypowieść stworzył, pewnie widział czaplę tylko na wiosnę lub latem, ale nie w jesieni...

— Dla czego? zapytał jeden z biesiadników.

— Ha! bo w jesieni czapla wypasa się i wygląda nie tak chudo, jak się autorowi przysłowia zdawało. Że zaś nędzniej na wiosnę, toć nie żadna nadzwyczajność, bo i wszystka zwierzyna w tej porze jest chuda.

— Podobno czaple wielkie szkody wyrządzają w rybołóstwie, zauważył któryś. Pamiętam, gdym jeszcze był wyrostkiem, stryj mój umyślnie powystrzelał wszystkie czaple, które gnieżdżąc się w bliskości stawu rybnego, wielkie w nim zrządzały szkody.

— To mosyndzieju zakrawa na to, wtrącił pan Łukasz, jakby kto obawiając się pożaru, wszystkie piece w domu kazał zawalić. Ryb chwała Bogu, stanie u nas i ludziom i czaplom, ale czaple coraz

rzadszemi są u nas ptakami. Zresztą nie same ryby je czapla, ale i żaby, raki, wodne zwierzątka, a nawet pijawki.

— Więc czaple muszą pewnie się gnieździć nad brzegami błót, stawów i strumieni, w sitowiach i w krzakach, jak to ma miejsce z niektóremi innemi brodzącemi?

— Gnieżdżą się istotnie w miejscach wilgotnych ale nie w sitowiu, owszem ptaki te budują sobie gniazda z suchych gałązek na drzewach, gdzie żyją gromadnie, bo mieszkać lubią w towarzystwie, ale żerują samotnie, każda sobie strawy szuka oddzielnie jakby się kryła z tem co złowi. A w żerowaniu tem, czapla przedstawia najwyższy przykład cierpliwości. Zdarza się je czasem widzieć całemi godzinami stojące w wodzie z nogami do połowy prawie zanurzonemi, ze skórczoną szyją i głową pomiędzy barki wtuloną, w takiej to postaci czatują na ryby i wodne zwierzątka. A godziż się żałować dla nich tak mozolnie zapracowanej karmy.

— Mówią, ozwał się któryś z obecnych, że czaple tak są leniwe, że wówczas nawet gdy dostrzegą rybę nie poruszą się z miejsca, a tylko wyciągają szyję do możliwej długości i dopiero wówczas rozwierają dziób dla porwania zdobyczy, gdy na nią natrafią.

— Nie przez lenistwo to czynią, odparł p. Łukasz, ale dla tego tylko, że ich szyja tak jest urządzoną, że jak na sprężynach na wszystkie strony poruszać się może. Dziwna bo budowa tej szyi! Kręgi, z których się składa są nierówne, a skutkiem szczególnego złożenia stawów w dwóch mianowicie miejscach, czapla może złożyć swą szyję we troje i położyć ją na grzbiecie w ten sposób, że głowa dotyka się pleców, a dziób sterczy naprzód. Lecąc składa tym sposobem szyję, a nogi w tył wyciąga. Lotem swoim różni się od bocianów i żurawi, do których ogólnym kształtem ciała jest zbliżona, a nawet przez zoologów do tego samego rodzaju co i one jest zaliczoną. Co ją jednak najwybitniej od bocianów i żurawi wyróżnia, to mianowicie piękne pióra znajdujące się u niej w czubie, na barkach po nad skrzydłami i u spodu szyi, zkąd się w kształcie brody zwieszają. Z piór tych wyrabiają owe sławne czaple kity, za które niegdyś przepłacano. Jedna taka kita kosztowała nie raz parę set dukatów, to jest, że za tę mierną ozdobę płacono tyle, ileby stało na wygodne utrzymanie ubogiej rodziny przez parę lat. Zbytek ten utrzymał się dziś tylko o ile wiem u magnatów węgierskich, ale i tu szerząca się oświata coraz bardziej go ruguje.



Czapla (do strony 136-ej).

— To jednak dziwna, zauważył któryś z obecnych, że pomimo tego, iż czaple w innych mianowicie krajach dość są pospolite, pióra ich do tak bajecznych cen dochodziły,

— Pochodzi to z tego mianowicie powodu, odparł Łukasz, że pióra te znajdują się tylko na starych samcach i to zaledwie kilka na jednym ptaku (bo inne nie mają tej wartości), a dostanie ptaka, nawet dla biegłego myśliwca jest trudnem. Zresztą trzeba i to także wziąść na uwagę, że w dawnych czasach tylko przedmioty koniecznej potrzeby, a mianowicie produkta ziemskie były nierównie tańsze jak dziś, przeciwnie zaś cena zbytkowych towarów daleko wyższą od dzisiejszej była. Co z tego pochodziło, że mniej było na świecie ludzi, a więc mniej konsumentów na produkta rolne, które już przez to samo musiały być tanie, że zaś jednocześnie handel słabo był rozwinięty a przemysł bardzo mierny, ztąd produkta zbytkowe i fabryczne stosunkowo były drogie.

Na tem się skończyła rzecz o czapli, a towarzystwo na i n n y przedmiot r o z m o w ę swą skierowało.

Mścisław Kamiński.

Podsłuchane gdzie się zdarzy.

(*Pod Karasiem*).

KUM. Kumo! kumo!.... dzień dobry.

KUMA. Dzień dobry kumie... Cóż tam nowego?

KUM. Ot, kazalibyście dać miętówki.

KUMA. Nie mogę kumie, nie mogę... właśnie co wychodzę... piłam już.

KUM. Wiecie co kumo, że wy jesteście bardzo skąpi.

KUMA. Gdzie znowu... ja nie dlatego, żebym wam żałowała mój kumie, tylko żem piła, więcej nie mogę.

KUM. U was zawsze po objedzie... Nigdy nie pijecie w kompanji tylko tak: „do ciebie ściana, wypiję ja sama." Pfe! to już ostatni *gradus*...

KUMA. A wy to lepsi?..

KUM. Rozumie się, ja zawsze piję w kompanji.

KUMA. A nie widziałam was wczoraj rano jak wchodziliście do Szapsiowej... samiusieńki... żywej duszy z wami nie było?

KUM. O już co to, to nieprawda... niebyłem sam.

KUMA. Żebym tak w ziemię wpadła, jeśli kłamię. Powiecie może, że was kto czekał w szynku... a przecież sami wychodziliście.

KUM. Kłamstwo! byłem w kompanji... z dwoma *dydkami*, ja piłem do nich, one do mnie, potem ja wyszedłem a dwa dydki zostały w szynku. (*Autentyczne*).

ZAGADKA.

— Jeżeli na drzewie siedzi czternaście wróbli, a strzelec zabija z nich dwa, ile zostanie?

(Żadnego. Zabite spadną, a żywe uciekną).

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: ADAM MIECZYŃSKI.